

Piotr Zaremba: Mój top teatru Telewizji. Najlepsze spektakle, najlepsze role

Teatr Telewizji wypracował sobie własny język, ani do końca teatralny ani filmowy, choć czasem jest też przestrzenią wprost przenoszącą do polskich domów ciekawe spektakle z sal teatralnych – pisze Piotr Zaremba w kolejnym artykule cyklu „Teatr według Zaremby”.

„Nie bądźcie nowocześni, bądźcie rzetelni” – pisał kiedyś Zbigniew Herbert do studentów Akademii Teatralnej w Warszawie. Całe jego posłanie wisi do dziś w tej szkole. Przytoczyła je wielka polska aktorka Anna Seniuk podczas festiwalu Dwa Teatry w Sopocie. Można by je uznać za motto Teatru Telewizji.

Jego niedawne odrodzenie to zasługa Ewy Millies-Lacroix wspieranej przez takich ludzi zainteresowanych obecnością sztuki w publicznej telewizji jak Jan Tomaszewski, doradca zarządu TVP. Ten gatunek (a może ta instytucja) wypracował(a) sobie własny język, ani do końca teatralny ani filmowy, choć czasem jest też przestrzenią wprost przenoszącą do polskich domów ciekawe spektakle z sal teatralnych.

Stawia na nieco przystępniejszą niż przewidują teatralne mody formę, swoisty teatr środka. Nie rezygnuje z popularyzacji klasyki, często już słabo obecnej w normalnych placówkach teatralnych. Wypełnia nawet

pewne zadania, których zwykle teatry podejmują się coraz mniej chętnie: poruszania tematyki ważnej dla wspólnoty, swoistego edukowania.

Agnieszka Holland przestrzegała kiedyś przed produkcjami „rocznicowymi”. A przecież spektakl przygotowany przez Artura Hofmana na kolejną rocznicę powstania w warszawskim getcie „Okno na tamtą stronę” spełnia wszystkie kryteria dzieła wybitnego. To dowód na to, że mecenat świadomego celów, ale i dobrego smaku, medium może spełniać ważną rolę kulturotwórczą.

Tekst będący swoistym scenariuszem złożonym z tekstów Władysława Szlengla, żydowskiego poety i kabareciarza, który zginął w warszawskim getcie, to mój zdecydowany number one. Numerem jeden gdy chodzi o role jest dla mnie z kolei Wojciech Solarz grający autora i głównego bohatera. Warto tu zwrócić uwagę na coś jeszcze: spektakl Hofmana miał duże znaczenie w dziele rozbudzania empatii Polaków wobec Żydów. Sam tego doświadczyłem – pojawił się w apogeum sporów historycznych Polski z Izraelem. Widziałem ludzi płaczących na festiwalu w Sopocie, kiedy go oglądali. To były łzy ożywcze.

Pewnie podobne racje przemawiały za konsekwencją, z jaką jesienią tego roku prezentowany był cykl widowisk historycznych na stulecie Niepodległości. Zwieńczeniem ma być „Wesele” Wyspiańskiego w interpretacji Wawrzyńca Kostrzewskiego. Jedyna wątpliwość, jaka się nasuwa to słaba obecność tematyki stricte współczesnej.

Choć historia często nas pod rozmaite tematy współczesne podprowadza, słabość opowieści bezpośrednio osadzonych w naszym czasie ujawnia defekty polskiego rynku dramaturgii. W jakiejś mierze współcześni są „Chłopcy” Stanisława Grochowiaka wystawieni na koniec roku przez Roberta Glińskiego. Ale to współczesność z roku 1966, nawet jeśli Gliński spróbował adaptować realia do czasów nam bliższych.

Oto kawałki moich dawnych recenzji z dzisiejszymi dodatkami.

NAJLEPSZE SPEKTAKLE

Okno na tamtą stronę, Władysław Szlengel, adaptacja i reżyseria Artur Hofman.

„Widowisko ma dwóch autorów. Szlengla, któremu nie dodano ani linijki. Owszem, aranżowane są scenki, ale zawsze opowiadane jego słowami. I Hofmana, który stworzył z tej wiązanki coś wstrząsającego. Od nieco cukierkowych scenek z kabaretu przedwojennego (Szlengel był autorem takich szlagierów jak „Dziś panna Andzia ma wychodne”, „Tango notturno”), ale też jego wypowiedzi na temat kondycji Żydów w Polsce i na świecie. Po ową kronikę getta. Raz w scenerii rewii pośród grozy śmierci. Innym razem pod postacią prywatnych monologów Szlengla i innych postaci. Które z artystów kabaretu stają się na ekranie syntetycznymi wyrazicielami żydowskiego losu.

Ta druga część to nie tylko rejestr cierpień i skarg. Które zresztą mają w sobie wymiar antycznej tragedii podwójnie, kiedy są nadal odgrywane w konwencji rewiewego teatrzyku, pod czujnym okiem funkcjonariusza żydowskiej policji. Ale pojawiają się tam też inne zaskakujące wątki. Tytułowe „okno na tamtą stronę” to okno Szlengla wychodzące na aryjską przestrzeń za murem getta. To on, miłośnik przedwojennej Warszawy, opowiada o tęsknocie do niej. I jest to skarga na coś jeszcze, poza głodem, upokorzeniem i zagrożeniem śmiercią. Na izolację od świata, który piszący po polsku artysta po prostu ukochał.

Trzeba jednak powiedzieć, że ten zapomniany do teraz autor wykorzystał do końca swoją niesamowitą, można by rzec upiorną twórczość (muzyka i śpiew pośród trupów) aby dać świadectwo zasadniczej tragedii swojego narodu. I robił to świadomie, z kompletnym planem w głowie, o czym świadczą jego słowa z finałowej sceny. Szlengel krąży po współczesnej Warszawie, czarno-biały pośród kolorowych widoczków. Chodzi po mieście, które było tak bardzo jego, opowiadając o swoich tekstach jak o wysłanym liście w butelce. Liście, którym chciał nas zainteresować, wstrząsnąć. Dreszcz przechodzi po plecach na samą myśl o tym. Ale jest w tym też coś krzepiącego – to jednak, jak to banalnie nie zabrzmiało, triumf człowieczeństwa. Warto było tę butelkę otworzyć. Chwała za to Arturowi Hofmanowi.

Hofman znalazł wykonawców idealnych. Katarzyna Dąbrowska wspaniała jako Wiera Gran, a obok Katarzyna Żak, Adrianna Gruszka, Marcin Przybylski, Krzysztof Szczepaniak, Artur Barciś tworzą doborowy team. A w tle dekoracje, w których wojna nie wygląda jak teatrum z dykty (scenografia Wojciech Majda). Oraz równie celna w arcyzręcznych stylizacjach muzyka Hadriana Filipa Tabęckiego”.

„Inspekcja” Grzegorz Królikiewicz, reżyseria Jacek Raginis-Królikiewicz

„To się nie może udać – podpowiadał mi wewnętrzny głos, Zdawało mi się, że temat sowieckiego aparatu przemocy jest już trochę zużyty, przemielony wieloma filmami i widowiskami. Z drugiej strony Królikiewicz jawił mi się jako wybitny intelektualista, ale spec od widowisk niełatwych, nieprzypadkowo kręconych rzadko – może poza dokumentami. Co wyniknie z tego połączenia?

Ewa Millies-Lacroix, szefowa Teatru TVP, powiedziała przed projekcją sensowną rzecz. Choć pozornie ten spektakl nawiązuje do tradycji robionych kilka lat temu quasidokumentalnych teatrów faktu (często, to już mój dodatek, uchodzących za zbyt proste, deklaratywne, czasem toporne), to przecież „Inspekcja” rozsadza tę konwencję. Jest czymś dużo mocniejszym, głębszym, ambitniejszym.

Miała rację. Królikiewicz napisał scenariusz, ale zmarł podczas przygotowań do realizacji. Jego misję przejął syn, Jacek Raginis-Królikiewicz, zaproszony przez ojca do współpracy, pomimo wcześniejszych artystycznych różnic między nimi, o czym sam opowiadał po premierze. Powstał spektakl niezwykle. Ascetyczny, kręcony na terenie elektrociepłowni stwarzającej widmowo-księżycowy krajobraz, pasujący do wyobraźni Królikiewicza seniora, bo robiony przez jego współpracowników (operator Adam Bajerski). A zarazem nie przytłaczający słowa plastycznymi wizjami. Skoncentrowany na aktorach, na zbliżeniach ich twarzy. Ze świetną muzyką Michała Lorenca w tle.

Mechanizm sowieckich manipulacji obnażony tu został perfekcyjnie. Ten *modus operandi*, okazał się trwały, pasujący do natury wszystkich służb specjalnych, a przecież dodatkowo obciążony rosyjską naturą, tym szczególnym fatalizmem, przekonaniem, że jednostka jest cząsteczką w wielkiej maszynie czy żyjątkiem w mrowisku.

Ale jest i inny wymiar tego widowiska, bardziej uniwersalny. Kiedy Zarubin prezentuje się jako wizjoner żądający od Polaków wyrzeczenia się własnej tożsamości w imię nowych mirażów, nie prezentuje tylko przemocy rosyjskiego imperium. Wyraża też rację rozmaitych globalnych utopii bardziej współczesnych, nie pochodzących tylko z Moskwy. Ma więc rację Królikiewicz junior warto to widowisko czytać uniwersalnie, współcześnie, i nawet nie tylko jako opowieść o genezie PRL-u”.

Spektakl wygrał na festiwalu w Sopocie. I choć miałem innego faworyta, widowisko Artura Hofmana, cieszyłem się z tej nagrody - za perfekcyjne wykonanie, ale i za siłę historycznej tematyki pozwalającej nam rozumieć także współczesność.

„Żabusia” Gabriela Zapolska, reżyseria Anna Wieczur-Bluszcz

„Po co coś zmieniać, dodawać, kiedy sam tekst wystarczy” – coś takiego powiedziała reżyser Anna Wieczur-Bluszcz po premierze przedstawienia Teatru Telewizji. Państwo mogą zobaczyć efekty tej deklaracji w ten poniedziałek, 19 lutego, w Jedyńce TVP. „Żabusia” Gabrieli Zapolskiej.

Tu wszystko jest mniej więcej takie jak w roku 1896. Może poza jedną sceną – quasi-erotyczną – między główną bohaterką a jej kochankiem granym przez Mateusza Damięckiego. Nie wiem, czy ta sytuacja wyglądałaby tak, a na pewno nie tak byłaby grana. Ale reszta przesycona jest nieco stylizowanym duchem epoki. I nie odnieśliśmy jednak wrażenia muzeum, a czegoś mocnego, aktualnego. A zarazem mnie znowu wepchnęło to w rozważania o duchu samej Zapolskiej”.

No właśnie, dalej pisałem o tym, że to Zapolska owszem z komediowymi wstawkami, ale chwilami grana w ponurej tonacji. Rozprawa o naturze kłamstwa, a przy tym przyczynek do obecnych debat – bo była ona prekursorką feminizmu, a zarazem moralistką w duchu miejscami wręcz konserwatywnym. Pewne odrodzenie Zapolskiej (światny „Mężczyzna” w Dramatycznym) ujawnia aktualność, wręcz nowoczesność jej tekstów. Gdyby dziś polscy dramaturdzy chcieli tak żwawo doganiać rzeczywistość.

„Lato” Tadeusz Rittner, reżyseria Jan Englert

„W sekwencji przedstawień Teatru Telewizji na stulecie Niepodległości w ten poniedziałek będzie „Lato” Tadeusza Rittnera w reżyserii Jana Englerta. Który pozostaje twórcą konsekwentnie osobnym. Na rocznicę zbiorowości, nacechowaną zbiorowymi emocjami, on sięgnął po komedię o życiu prywatnym ludzi około roku 1912. To klasyka, ale rozliczenia z narodowymi mitami Englert trochę zamknął swoim „Kordianem” z Teatru Narodowego. Dziś lubi przypatrywać się z wyżyn doświadczenia życiowego indywidualnym bohaterom.

Zarazem tym którzy wierzą w egocentryczny teatr reżysera, dedykuje teatr ciekawej historii. Nie przenosi niczego w czasie, chciał Rittner pokazać austro-węgierski kurort, to go mamy. Tylko co Englert z tym światem umie zrobić! Oto kreuje fantazyjne sceny z werwą Felliniego bawiącego się uzdrowiskiem w „Osiem pól”, w czym pomaga niby staroświecka, a przecież groteskowa muzyka Piotra Mossa i świetne dynamiczne zdjęcia Piotra Wojtowicza. Czy to tylko wpływ Felliniego? A może i duch Paola Sorrentino? Sentyment Englerta do kreatywnego włoskiego kina wyczuwał każdy, kto widział jego inscenizacje. Mamy więc Italię w Polsce, kręcącą koło mazowieckiego Zakroczymia.

„Tu wszystko jest ironiczne, wartkie, oparte na ludzkich spięciach lekkich jak pianka, choć czasem smutnych” – z zachwytem opisywałem grę aktorów grających gdzieś na pograniczu komediowego realizmu i magicznego przerysowania. Od debutanta Marcina Franza po weteranów są zgranym, świetnie prowadzonym teamem, kameralnym muzycznym zespołem.

„Pan Jowialski” Aleksander Fredro, reżyseria Artur Żmijewski

Wystawienie „Pana Jowialskiego” jako widowiska telewizyjnego na Międzynarodowy Dzień Teatru to świetne trafienie. Nie każda sztuka Aleksandra Fredry podnieca mnie jednakowo, niektóre są konwencjonalne i błahe. Tej nie trzeba podpierać deklaracjami o ciągłości tradycji. Broni się kapitalnym poczuciem humoru.

Artur Żmijewski wykonał zadanie nałożone nań przez Teatr Telewizji, czerpiący garściami z klasyki, pokazujący, że jest się na co oglądać w przeszłość. Odrobinę włożył spektakl w cudzysłów, pokazując na początku studio, operując nieco stylizowanymi dekoracjami czy jazzową muzyką Włodka Pawlika. I prowadząc aktorów miejscami drogą nieprzeszarżowanej groteski, którą można zresztą odnaleźć w tekście.

A zarazem to wciąż sztuka kostiumowa, nieprzenoszona sztucznie we współczesność, bawiąca pewną staroświeckością form i konwenansów. Gdzieś tylko wytrawny aktor postawił na dodatkowe smaczki. Nie myśleliśmy o starych Jowialskich jako parze wciąż się kochającej, także fizycznie. Ginęło to nam za powłoką dziecięcych staruszków. Tymczasem Żmijewski zapewnia, że to sztuka o różnych formach miłości. Może dlatego zauważymy też mocno tragikomiczną naturę postaci Szambelanowej, było nie było matki, która straciła kiedyś dziecko”.

Konkurencja była duża. Zastanawiałem się, co uczynić z „Chłopcami” Stanisława Grochowiaka, który to dramat Robert Gliński nie tylko przesunął mocno w czasie (to właściwie rodzaj adaptacji), nie tylko mocno ścisnął redukując postaci i wątki, ale też nasycił szczególnym krakowskim klimatem: z muzyką Zygmunta Koniecznego, różnymi kulturowymi smaczkami i gwiazdozbiorem starych aktorów, na których jeździłem, jeszcze w latach 70., z Warszawy.

Ostatecznie pozostał zaledwie ciut pod kreską. Podobnie „Generał” przeniesienie z Teatru IMKA, mocno groteskowy, polityczny kabaret Jarosława Jakubowskiego wokół motywu postaci dyktatora Jaruzelskiego (reżyseria Marek Kalita i Aleksandra Popławska). Mój podziw, choć i pewien sceptycyzm wywołał „Fryderyk” Agnieszki Lipiec-Wróblewskiej, erudycyjna rozprawka o Chopinie, momentami zbyt hermetyczna jak na mój gust, ale ambitna jako próba wskrzeszenia teatru dla inteligencji.

Żadnego przedstawienia z tego roku nie mogę uznać za nieudane. Zarazem szereg najpotrzebniejszych historycznych obrazów wywołał we mnie tęsknotę za współczesnością. A kończy się ten rok bajką nie tylko dla dorosłych, „Pchłą szachrajką”, zwariowaną bajką nie tylko dla dzieci, w interpretacji Anny Seniuk, przeniesioną z Teatru Narodowego. A rok następny zacznę się bardzo mi bliskim „Listem z innego świata” według zapomnianej powieści Kornela Makuszyńskiego. W kostiumach nieco umownych z międzywojnia, ale z uniwersalnym przesłaniem: szukajmy w ludziach dobra.

ROLE

Wojciech Solarz – przypomnę co napisałem o jego roli Władysława Szlengla w „Oknie na tamtą stronę”. „Wojciech Solarz za często był obsadzany w rolach tylko przyzwoitych chłopaków. Tu wznosi się na wyżyny. Dostał okazję aby być tragikiem z prawdziwego zdarzenia. Wykorzystał ją z nadatkiem. Od beztroskiego przedwojennego dowcipnisia do człowieka prowadzącego obrachunki z całym światem.

Jego wielka rola wymaga oddzielnej, obszernej analizy. Jego monolog o zabijanym Bogu, rzucony wprost w kierunku nieba, zapamiętam na resztę życia”.

Dodam jeszcze: specjalnie dla Solarza powinno się pisać sztuki. To jeden z najbardziej szczerych, samodzielnych artystów, nie tylko odtwórców cudzych ról i pomysłów.

Krzysztof Szczepaniak – kiedy pojawia się na scenie Dramatycznego, towarzyszy mu lekki szmerek. To jeden z najbardziej obiecujących i na razie spełnionych aktorów młodego pokolenia. W swoim teatrze szykuje się do Hamleta. Przez Teatr Telewizji przeszedł w tym roku jak burza. Wcale nie eteryczny, choć wiecznie sfrustrowany Chopin we „Fryderyku”. Zabawny, groteskowy w swojej jałowej ruchliwości Wiktor z „Pana Jowialskiego”. I wreszcie artysta kabaretowy o przeraźliwie smutnej twarzy w „Oknie na tamtą stronę”. To charakterystyczne: Szczepaniak wszedł do obiegu jako aktor głównie komediowy, o gigantycznej ruchowej sprawności i naturalnej vis comica, a na dokładkę o talentach wokalnych. Tymczasem jedynie Wiktor to rola komediowa, a występ w czymś co nazwałem „kabaretem w piekle” („Okno na tamtą stronę”) to coś wręcz wstrząsającego. Potwierdza to moją opinię, że najlepszymi tragikami okazują się ci, którzy są świetnymi komikami.

Mariusz Ostrowski – Tak napisałem o jego roli majora Zarubina w „Inspekcji”: „Wznosi się na wyżyny jako amator psychologii operujący naukowymi metodami w samym środku stalinowskiej rzeźni. Na jego twarzy maluje się cała gama emocji. A przecież wszystko sprowadza się do przebijającego się przez nie grymasu ust, upiornego, ale i gorzkiego.

Jego rozgrywki z zapraszonymi do gabinetu „gośćmi” mają całkiem fizyczną naturę. Jego nadaktywność mimiczna i ruchowa, niemal owadzia, zmienia się w nagły bezruch, w oczekiwanie. Czujemy jego nieustającą obecność nawet w scenach w których go nie ma, w życiu polskich oficerów. To naprawdę wielka kreacja!”

Nazwałem go smutnym sowieckim diabłem. Takie skojarzenia łączą się tylko z najlepszymi rolami.

Jerzy Trela – Właściwie truizmem jest umieszczanie tego aktora na jakimkolwiek piedestale. Jeśli wymieniam jego rolę Kalmity z arcykrakowskich „Chłopcach” Grochowiaka w reżyserii Roberta Glińskiego, to dlatego, że mnie ta rola zastanowiła. Bardzo oszczędnie zagrana, ktoś mógłby powiedzieć, że Trela idzie z dawną obranym szlakiem, że ta piękna polszczyzna, choć ze śląskim zaśpiewem, nie odkrywa dla nas nowych widoków. A on po prostu nagina całą siłą swojej potężnej osobowości postaci do siebie – mając za partnerów Edwarda Lubaszenkę, Mariana Dziędziela, Tadeusza Kwintę, Andrzeja Grabowskiego, Elżbietę Karkoszkę i Annę Dymną. Może bardziej wyrazistą była rola starego górala w „Wariacjach Tischnerowskich” przeniesieniu z Teatru Stu. Ale mnie właśnie Trela najbardziej minimalistyczny wprowadził w podziw. On nie gra, on JEST.

Katarzyna Dąbrowska i Marcin Przybylski – Wymieniam ich w jednym punkcie nie z powodu małej wagi ich ról. Po prostu w przedstawieniu „Okno na tamtą stronę” odegrali nieco podobną rolę. To para aktorów śpiewających, jedni z najlepszych w Polsce. Tu opowiadali historię getta samymi piosenkami. Dąbrowska po kilku przedwojennych szlagierach była Wierą Gran pozornie nadal

kabaretową, w istocie tragiczną. Przybylski, początkowo przedwojenny rewiowy lowelas, piosenką o cylindrze (innymi także) nakreślił mały traktacik o podeptanej, ale bronionej do końca godności. To są aktorzy, którzy umieją wyciskać z ludzkich oczu łzy.

Marek Kalita – Przedziwna rola Generała ze sztuki Jarosława Jakubowskiego, chwilami drażniąca, jednak bardzo sugestywna. Aktor umie nieźle naśladować dziwny modulowany rytm głosu Jaruzelskiego, choć chwilami poza niego wychodzi (kiedy krzyczy, tamten nigdy nie krzychał). Z postaci kukły wyciska tajemnicę, chwilami tragizm. Ześlizguje się czasem w kierunku kabaretowej parodii żeby powrócić ku czemuś głębszemu.

Kamila Baar – Aktorka piękna, z potężną charyzmą, umiejąca wyposażyć postać tytułową z „Żabusi”, ośmieszoną przez Zapolską, w komplet stosownych argumentów. Czym bliżej końca spektaklu, tym grała bardziej serio stając się wreszcie postacią z Ibsena bardziej niż z farsy. Aktorka niedostatecznie wykorzystywana, aż by się prosiło o więcej.

Beata Ścibakówna – Właściwie cała obsada „Lata” Rittnera w wersji Englerta powinna trafić na top. Wybieram te aktorkę z dwóch względów. Po pierwsze, bo była do tej pory trochę niedoceniana. Po drugie w „Lecie” była chyba najbardziej konsekwentna w delikatnej szarży, którą na koniec zmieniła w delikatny ekshibicjonizm. Prawie poniżyła swoją postać, przerysowaną, nazwaną przez innego bohatera subretką, żeby jej jednak w finale współczuć. Majstersztyk aktorki i reżysera mających wspólny pomysł na opowiadanie o świecie.

Arkadiusz Janiczek – Tyle sugestywności, w tak słabej, pozbawionej siły charakteru postaci. Mąż „Żabusi”, pan Bartnicki, jest godnym partnerem dla swojej żony. Dostajemy rozprawkę na temat złudzeń, samooszukiwania się. Chwilami rysowane jest to komediową kreską, przez jednego z najbardziej dziś wyrazistych w swojej charakterystyczności aktorów, a jednak czym bliżej finału, tym bardziej tragikomicznie. Janiczek ze swoim tubalnym głosem i marsowymi minami ma w sobie głębokie pokłady ciepła.

Danuta Stenka – Cała obsada „Pana Jowialskiego” powinna tu być. Stenka wydała mi się nie wiedzieć czemu najbardziej „odjechana” z galerii postaci – a widziałem już w roli Szambelanowej Irenę Kwiatkowską i Barbarę Krafftównę. Uroda połączone z groteskowym szaleństwem, śmieszność podszyta dramatem. Nie wiem, na ile aktorka wykalkulowała tę rolę, na ile jej wyszło. Wyszło wspaniale.

Ewa Konstancja Bułhak – Obyście Państwo nie przeoczyli w powodzi świątecznych emocji tej bajki, produktu nieokiełznanej wyobraźni Anny Seniuk, z kapitalną muzyką Macieja Małeckiego. Ewa Bułhak po prostu musiał zagrać w „Pchle szachrajce”. Jedną z najwszechstronniejszych polskich aktorek w opowiadaniu dla dzieci (choć nie tylko) nie robiła zbędnych min, nie infantylizowała na siłę niczego. Bawiła się w teatr i bawiła się swoim kosztem, co zdarza się jej często. A telewizyjne zbliżenia jeszcze dodatkowo wzmacniały efekt tej świetnej aktorskiej roboty.

Paulina Szostak – Najbardziej udany debiut w Teatrze Telewizji, choć młoda aktorka zdążyła już zabłysnąć jako gwiazda dwóch sezonów serialu „Belfer”. Zwrócenie uwagi na nią gwarantował już paradoks samego dobrania jej do roli Delfiny Potockiej we „Fryderyku”. Zamiast salonowej uwodzicielki mamy bezradną, smutną dziewczynkę, niemal nastolatkę, choć obciążoną nieudanym małżeństwem i dziećmi. Szostak jest jednak wyjątkowo sugestywna i spójna w kreowaniu tej postaci. Komuś może się wydać zbyt współczesna. Mnie wydała się kwintesencją losów kobiet mających nieszczęście obcować z geniuszami.